Nr. 40. We Lwowie dnia 2. Października 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O „POLSCE“ BRANDESA.

Zatem mamy drugi zeszyt „Polski“ Brandesa. — Autor opowiadanie swoje zaczyna od opisu przyjazdu swego na granicę rosyjską. Przeprowadza czytelnika przez wszystkie niespodzianki i turbacje, jakim ulegał w ciągu długiej i ścisłej rewizji. Najciekawszem wszakże jest dla nas, którzy te rzeczy zbliska znamy, pogląd i wrażenie samego autora, europejczyka, mieszkańca wolnego kraju, który nigdy granicy rosyjskiego mocarstwa nie przekraczał i jak wnosić można, bardzo słabe miał o niej pojęcie. Barwność tego epizodu podnosi subtelny odcień humoru.

Zewnętrzny wygląd Warszawy robi niekorzystne na duńskim przybyszu wrażenie; sympatja jednak, jaką żywi dla nas, pozwala mu widzieć rzeczy we właściwem świetle, zrozumieć przyczyny opuszczenia, tkwiące w wyjątkowo nieszczęśliwem położeniu kraju. Przedewszystkiem uderzają autora stosunki nasze polityczne; z nich autor, może całkiem mimowoli, zrobił punkt widzenia, z którego nas obserwuje.

Szeroko opowiada Brandes o wrażeniach pobytu swego w Warszawie. Znać, że wszędy, gdzie wchodził, rozglądał się bystrem okiem krytyka-spostrzegawcy, które żadnemu objawowi wymknąć się nie da. To też opis nie ma za treść własnej jego osoby i wypadków jego dotyczących, jest to wyłącznie zbiór poglądów i wywodów z nich na to, co go tam otaczało i spotykało. Mamy obrazy życia towarzyskiego w Warszawie i poszczególnych grup towarzyskich, arystokratycznej, artystycznej, literackiej. Widzimy Warszawę, bawiącą się zapamiętale podczas karnawału i bawiącą się urzędownie, to jest na wielkich balach, gdzie narzucająca się obecność władzy paraliżuje wszelką ochotę do zabawy.

Sztuka, teatr, literatura wraz z ich przedstawicielami mają tu swoje stronice. Wychowaniu, specjalnemu wychowaniu pod knutem, poświęca głębszą uwagę.

Wobec ogólnego ucisku, panującego w każdej sferze, w każdym odłamie życia, jednocześnie wobec niepokonanej siły żywotnej gnębionych, staje obcy przybysz ze zdumieniem i przedewszystkiem zadaje sobie pytanie: jakiż jest nareszcie ten gnębiony, a zgnębić się niedający naród? I oto napotykamy ocenę: „Naród zapalny i niepraktyczny — mówi o Polakach Brandes — szlachetny, żywy i lekomyślny, naród, który czuje wstręt do wytężonej i długotrwałej pracy i zawsze miał pociąg do wszelkich silnych i subtelnych rozkoszy tak zmysłowych jak i duchowych, ale który przedewszystkiem kochał niepodległość do szaleństwa, wolność do liberum veto i który do dziś po utracie niepodległości i wolności pozostał wiernym tym samym ideałom“. I dalej: „Podczas gdy Niemcowi zdaje się, iż osiągnął swe przeznaczenie, jeżeli zaprzągł się do rydwanu państwowego, nawet gdyby przytem utracił coś z najlepszej cząstki swej istoty, Polak w ogóle nie jest stworzony na obywatela państwa. (?! Red. Tyg.) Zarówno ekonomiczny, jak i polityczny zmysł jest w Polsce słabo rozwinięty“. „Jakoś to będzie — mawiają Polacy, jakoś się to ułoży: charakterystyczne to słowa dla tego kraju bezładu!“ (?! Red. Tyg.)

Niejednokrotnie zadawano w Warszawie pytanie Brandesowi, czy i on także widzi owo wielkie a smutne podobieństwo Polaków z Francuzami. Zdaniu temu duński krytyk przeczy stanowczo z wyjątkiem kilku podrzędnego znaczenia rysów. „Racjonalizmu, skłonności do rezonowania, będących jednym z zasadniczych rysów charakteru francuskiego, Polakom brak całkowicie. (!? Red. Tyg.) Francuz

jest — w szlachetnem tego słowa znaczeniu — wielkim prozaikiem, Polak — poetą.“

Brandes, przyznając Polakom męstwo, zapał, energję, utrzymuje, iż kobiety polskie posiadają te zalety w wyższym stopniu.

Na ogół, kobiety polskie wzbudziły żywą sympatję w duńskim uczonym. Podnosi czyny bohaterskie, o jakich zdarzyło mu się słyszeć, zaznacza oddanie się rodzinnym obowiązkom z zupełnem zaniedbaniem własnych próżnostek. Jako zaś najwybitniejszą cechę charakteru Polki podaje jej wytrwałe, a zawsze gorące służby sprawie narodowej.

Mówiąc o młodzieży, autor bardzo słuszne robi spostrzeżenia nad opłakanem jej położeniem w kraju. Młode umysły na ogół, z wyjątkiem chyba zaabsorbowania tajną agitacją, będąc pozbawione możności śmielszego czynu, żywszej inicjatywy, nie znajdując ujścia dla swej wrodzonej energji, puszczają się częstokroć na niefortunne eksperymenty, które jednak utrzymują ich w ciągłem naprężeniu, dozwalają utonąć w czemś, choćby czasowo, całą duszą. Stąd wynika ta gorączkowa gonitwa za coraz nowemi zawodami, to ustawiczne zmienianie zajęć i okręgu myśli. Prowadzi to prostą drogą do wieczystej niedokładności w rozpoczynającej się, a nigdy do dokładności nie doprowadzonej pracy, krócej mówiąc — do dyletantyzmu.

Można byłoby zrobić zarzut autorowi, iż stokroć częściej zmieniającymi warstat swej pracy są amerykanie, a iż są „narodem dyletantów“ — jak to Brandes o Polakach mówi — powiedzieć o nich chyba się nie da. Zresztą zjawisko to u nas nie jest tak znacznem i Brandes prawdopodobnie z kilku pojedyńczych, jakie mu nastręczono, przykładów, wziął je za zjawisko ogólne.

Zeszyt drugi, zawierający w sobie „Drugie wrażenie“, już o rok później zebrane, podnosi kwestje najbardziej nas obchodzące. — Jeżeli w pierwszem „Wrażeniu“ mówił autor z oburzeniem na ucisk, ze zdziwieniem oglądał tak niebywałe dla syna swobody sytuacje, tutaj w drugiem „Wrażeniu“ mówi o nieszczęściu naszem z takim bolem, jaki tylko odczuć może wzniosły, sprawiedliwy, a wolny umysł na widok podeptanych wszelkich praw człowieczych. Wystawia przytem właściwe cechy stron obu, uciskającej i uciskanej — z pierwszej — „takie prześladowanie, które graniczy z pastwieniem się“, z drugiej — owo wyjątkowe podniesienie moralne, jakie wywołuje niewola.

W dalszym opisie przytacza autor liczny szereg rozporządzeń państwowych, represalji i zastosowań ich praktycznych oraz charakterystykę działalności pjonerów ucisku. „Naród polski — powiada między innemi — rozpłynął się cały w swej sprawie narodowej, a ta polska sprawa, toż przecie nic innego, jak sprawa ogólno ludzka, sprawa ludzkości. Dla tego Polskę miłuje się nie tak, jak kocha się Niemcy lub Francję, lub Anglję — lecz się ją kocha tak, jak się wolność kocha. Bo kochać Polskę, wszak to znaczy kochać wolność, mieć sympatję głęboką dla nieszczęścia, podziwiać odwagę i zapał wojenny! Polska jest symbolem — symbolem wszystkiego, co najszlachetniejsi w ludzkości umiłowali i za co walczyli...“

W ostatnich kartach drugiego zeszytu podaje nam autor zajmujące szczegóły o cenzurze rosyjskiej. Godne uwagi mianowicie jest zajście jego z cenzurą pod względem zapowiedzianych w Warszawie odczytów.

W. Dalecka.

7)

„Pan Tadeusz“ Mickiewicza jako Epos.

Porównajmy np. ten ustęp dramatyczny ze sceną śmierci Dydony w IV pieśni „Eneidy“, a przekonamy się, jaka zachodzi różnica pomiędzy dużym talentem naśladującym wielkie wzory, a genjuszem nawskróś samodzielnym.

Rzymski epik oddał rozpacz miłośną królowej pięknie i z siłą uczucia, ale w tyradach sztucznych, pełnych emfazy, na wzór których potem jęczały wszystkie Hermiony, Andromaki i inne bohaterki pseudo klasycznej tragedji. Tymczasem u Mickiewicza umierający Jacek Soplica mówi tak, że każde słowo płynie mu z serca, że czuć w nim wysiłek, bezład i przeskakiwanie myśli, przerywanych wybuchami żalu i zgryzoty, zamieranie oddechu w ostatnich przebłyskach życia.

Znać tu, że mistrzynią poety była tylko prawda genjalnie odczuta, tak samo, jak w jego stosunku do przyrody. Epicy pierwotni czuli tajemniczy związek człowieka z siłami żywiołowemi, ale sama przyroda jako taka mało miejsca zajmowała w arcydziełach poezji mło-

dzieńczej. U Homera niemasz prawie opisów natury na szerszą skalę. Obrazy i porównania z niej czerpane, służą bardzo często jako tło do wspaniałego przedstawienia czynności ludzkich zwłaszcza ruchu mas wojowniczych, jak np. w pieśni III Iliady:

Jak więc ogień pożerczy na szczytach gór niebotycznych
Lasy wypala — a łuna rzęsista jaśnieje z daleka,
Tak gdy szli Achejanie do boju — od spiżu lśniącego
Blask się roztryskał wokoło, do nieba błękitu sięgając.
Jak więc ptaki powietrzne, zebrane stadami licznemi:
Gęsi, żórawie jękliwe i z długą szyją łabędzie,
Kędy przepływa Karstra w rozległych moczarach azyjskich,
Długo i tutaj i tam zalatują, skrzydłami szybując,
Wreszcie z krzykiem usiędą i łąka rozbrzmiewa donośnie:
Tak i drużyny Achejskie, wyszedłszy z naw i namiotów,
Płyną równiną Skamandra, ziemia tętniła pod nimi,
Pod wojowników stopami i pod kopytami rumaków. [18]

Bohaterowie homerowscy spotykają się oko w oko nietylko z działaniem sił przyrodzonych, ale także z ich potęgę uczłowieczoną (tj. antropomorficzną) jak np. Achilles, ścigany przez fale strumienia Skamandru, który się potem zjawił w postaci bóstwa i ludzkim głosem w pieśni XXI „Iliady“ klął bohatera, ponieważ mu koryto zawalił trupami pomordowanych Trojańczyków.

W poematach indyjskich obrazy, naturą dyszące, pełne aromatu i uroku upiększają wielkość bogów i cnotę bohaterów. Takim jest np. w Ramayanie obraz lasu pierwotnego, w którym Rama z żoną Sitą ma pędzić pustelnicze życie, lasu, strojnego krasą wiosny, pełnego śpiewu ptaków, szumu jasnych strumieni i powiewów wietrzyka. Równie wspaniałym jest w tejże epopei opis okolic Lanki, t. j. stolicy wyspy tegoż nazwiska (dzisiejszego Cejlonu), miasta, będącego siedzibą króla demonów, Rawany.

„Lasy kwietne otaczają złotą Lankę, miasto wieczne jakoby królowi bogów poświęcone. Tam chłodne strumienie i łąki z mchem zielonym, tam palma piękną barwi się czerwienią, a cedr korą zapach wydaje, tam drzewo okryte mnóstwem kwiatów, jagód i owoców, podobne do wspaniałych szat ludzkich. Tam tysiącem kręgów świetlanych błyszczą zewsząd gaje, tam w powietrzu rozlega się dokoła pszczół brzęczenie i gwizdy kosa i jękliwe głosy gołębi i głośne okrzyki pawi. Tam góra pełna bogactw, okryta gęsto drzewami, wznosi się w lotne powietrze, niby chmura, wynurzająca się z ziemi, ozłocona blaskiem słońca. Ogrom wielki, potężny, który w locie mogą przemierzyć zaledwie skrzydła wielkich ptaków, wobec którego myśl w osłupieniu drętwieje: na szczycie powietrznym wznosi się złota, zwycięzka Lanka“. [19])

[18]) Iliada, przekład Stanisława Mleczki. Pieśń II. wiersze 455—469, strona 39. Podobny przykład znaleść można w pieśni IV w. 452—456 na str. 79.

[19]) Przekład z łacińskiego tekstu „Ramayany“.(IV, 15) z cytowanego wyżej dzieła Eihoff'a (str. 361).

Pojawiają się oprócz tego w „Ramayanie“ same w sobie obrazy gaju ciemnego, uraganu, blasku księżyca — w „Mahabharacie“ malownicze szczegóły opisu nieśmiertelnego miasta i zjawienia się bogów, ale są one krótkie i drobne, niby złote nici, tu i ówdzie wplecione w tło jedwabnej szaty.

W ponurej poezji Nibelungów niema miejsca na powaby przyrody.

Mickiewicz pojmuje chwilami naturę w sposób animistyczny, uosabia ją w kształtach człowieczych, jak to już wykazali szczegółowo krytycy. Ale po za tymi rysami pokrewieństwa z poglądem poetów i ludzi pierwotnych autor „Pana Tadeusza“, jako malarz natury, jest mistrzem genjalnym, czysto nowożytnym. Poezja barw i potęga kolorytu stanowi zdobycz malarstwa najnowszego, jest owocem wydoskonalonego daru widzenia, który prawdopodobnie u starożytnych nie chwytało tak dobrze tęczowej strony świata.

Wspaniałe poetyzowanie przyrody w poezji i rozwój krajobrazu w malarstwie to także zdobycz epoki naszej. W przeciwieństwie do sztuczności dzisiejszego życia umiała ona odczuć prostotę i powab wiekuistej jego szafarki.

Witkiewicz rzucił jasne światło na skarby malarskie, zawarte w „Panu Tadeuszu“, a Gostomski rozszczepił barwy poematu w pryzmie krytycznej, ukazując całą świetność składowych promieni. Dodam od siebie, że chociaż obrazy natury w „Panu Tadeuszu“ są integralną częścią utworu, każdy jednak sam przez się ma wartość, jako znakomite rozwinięcie danego motywu. Natura nie występuje tu jako dekoracja, lecz jako potęga odrębna, której siła i życie góruje nad ruchem ziemskiego mrowiska. Wielkim mistrzem poezji przyrody jest także na swój sposób Słowacki, przetapiający wrażenia bezpośrednie na urocze majaki wyobraźni. Asnyk w widokach tatrzańskich ma dużo plastyki, roztacza szeroką perspektywę i nastraja całość do tonu głębokiej zadumy. U Mickiewicza poezja natury jest realna, konkretna, a jednak porywająco piękna. Maluje on słowami obrazy, w których każda plama świetlana rzuconą jest wyraźnie, ma swoją siłę, znajduje się w odpowiednim stosunku do plam sąsiednich, oraz do optycznego nastroju całości.

Znawcy różnych gałęzi literatury powszechnej nie zaprzeczą zapewno memu twierdzeniu, że równie wspaniałej i pełnej poezji przyrody nie posiadają inne arcydzieła epiki. Mickiewicz chwyta nie tylko zmienną grę odcieni światła, ale oddaje wrażenia dźwięków, szumy, gwary i poświsty, maluje ruch najdelikatniejszy traw i roślin, harce zwierząt, wreszcie sabat rozhukanych żywiołów, jak np. we wspaniałym ustępie po ukończeniu walki:

Na zachód, jeszcze ozłocona
Świeci ziemia ponuro, żółtawo czerwona,

Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grochy ziarniste.
Nagle wichry zwarły się, porwały się wpoły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wodę w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmięszane z kędziorami snopów; wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wyrwał się z roli, jak słup czarnoziemu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok wszerz wydyma się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burze.
Aż z całym tym choasem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły, jak niedźwiedzie.
A już deszcz wciąż pluszczy,
Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtem rykły pioruny,
Krople zlały się razem; to jak proste struny,
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je z burzą, od nocy czarniejszą, zaciemia,
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I Anioł burzy nakształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem,
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie;
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

9) (Wyjątek z pamiętnika.)

(Dokończenie).

Jak mi jenerał powiedział, różnych już istotnie środków próbowano, bo szliśmy nie do góry, ale na dół, do lochów. Wszedłszy rozpoznać się nie mogłem, bo ciemno tam było, ale jego oczy widać prędzej mię poznały, przyzwyczajone do ciemności, bo zanim się mogłem opatrzeć, usłyszałem:

— Ha! ha: ha! ksiądz! Tego tylko brakowało! Ksiądz w cytadeli! To także dobry egzemplarz być musi. Cóż? Czy djabeł w sutannie przychodzi po moją duszę? A widzisz, księżulku, że zgadłem, boś nawet po chrześcijańsku mię nie przywitał. Idź-że sobie do licha, zkąd przyszedłeś!

Powitanie było zachęcające. Istotnie zapomniałem pozdrowienia odpowiedniego i to był błąd z mojej strony. Wrażenie było złe od początku i trzeba je było starać się naprawić, jeżeli się całej partji przegrać niechciało.

Powiedziałem dyżurnemu urzędnikowi, który mi towarzyszył, żeby więźnia przeprowadzić na górę, co też wykonano natychmiast, kazałem mu przynieść jakieś pożywienie, bo męczyli go chlebem i wodą od dwóch miesięcy, a sam wyszedłem przejść się po korytarzu, żeby zebrać myśli.

Kiedy po półgodzinie wszedłem do celi, w której go teraz zamknięto, poznałem odrazu że istotnie to, co można było zrobić, było już zrobione. Wiele mu się nie należało! Zdawało się, że zostały mu tylko oczy, jakieś piekielne, o blasku ponurym, które do dziś dnia pamiętam. Wychudzony był do niemożebności, bo te strzępy ubrania, które zostały, wisiały na nim zaledwie. Jedzenie postawione — nie było ruszone, on sam leżał na wznak i patrzył w sufit.

Kiedy mi otwarto drzwi, obejrzał się, chociaż nie zaraz i powiedział tylko:

— Znowu?

— Przynoszę pociechę.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem jakiemś szyderczem, ale pozycji nie zmieniał.

— Przynoszę list od matki.

Usłyszawszy to, zerwał się na równe nogi. Podałem mu list. Z początku czytał, później zaczęły mu łzy płynąć po twarzy, znowu czytał i powracał do początku. Nakoniec gdy to już z jakie pół godziny trwało, przypomniał sobie o mnie, zaśmiał się i powiedział:

— Bądź co bądź, Bóg zapłać!

Zapytałem, wskazując na przyniesiony talerz, czyby się nie chciał czem wzmocnić. Za całą odpowiedź poruszył głową przecząco.

Zacząłem tedy do niego mówić. Z początku myślałem, że to czas stracony, ale powoli dojrzałem, że mu się czoło marszczy. W końcu proszę sobie wystawić, co się we mnie działo, kiedy naraz, ni z tego ni z owego, usłyszałem:

— Słuchaj księże, czy możesz moje życie ocalić?

Jak to jednak dobrze, że tych gałganów żadne wiadomości ze świata nie dochodziły. Toż tydzień temu jak wół stał oddrukowany manifest, mocą którego za winy, dotyczące roku 1863 kara śmierci nie miała być stosowana.

Przybrawszy tedy minę uroczystą, powiedziałem:

— Przysięgam na Boga, że jeśli wyznasz prawdę, życie będziesz mieć darowane.

— Daj pokój. Przychodzisz od nich, więc z dobrem przychodzić nie możesz. A teraz słuchaj, słuchaj dobrze, żebyś mógł powtórzyć temu, co cię do mnie przysłał: Wszystko, co się mnie dotycze, powiem im, ale o innych — ani słowa! Rozumiesz mnie? Ani słowa! Oni uwierzą, bo mnie już poznali.... Wzamian za to żądam jednej tylko rzeczy, tj. żebyście mnie nie powiesili, a i to tylko tak długo, dokąd ona.... rozumiesz?... ta, co pisze, dokąd ona żyć będzie. Chce tego, więc niech się stanie jej wola! Drugi warunek mój jest ten, żebyście jej jak najprędzej przyjść tu pozwolili, bo prosi o to. Idź z Bogiem, księże, bo przyznaję, że mi twoja obecność jest przykra.

Możesz sobie pan wystawić, że i mnie pilno było wydostać się ztamtąd. Spieszyłem do jenerała, żeby mu opowiedzieć wszystko. Słuchał mię z natężoną uwagą. a kiedy skończyłem, serdecznie mi podziękowawszy, powiedział:

— Niechno tylko powie o sobie, a z tego domyślę się reszty. On tego wiedzieć nie może, ale mnie to wystarczy najzupełniej: gdyby wiedział, potrafiłby milczeć jak dotąd. Szkoda, bo to mocny, bardzo mocny człowiek!

Przyznaje, że co do siebie powiedzieć nie mogę, żebym go miał żałować, choć przez chwilę. A jakem się dowiedział, że do ciężkich robót pojechał, tam sobie pomyślał: Niech Cię tam szatan porwie, ciebie i wszystkich podobnych tobie! Ale najważniejsza, że życzliwość jenerała nie miała odtąd granic dla mnie i pan sam, czy też jego protegowany będziesz mieć tego dowód niezbity. Ja moich wpływów nie przeceniam bynajmniej!“

Przytoczone powyżej opowiadanie charakteryzuje człowieka. Dalsza karjera tego odstępcy, była mu słuszną zapłatą za popełnione zbrodnie.

Opanowywała go coraz więcej manja prześladowcza, wspomniany już zakrystjan na krok go nie opuszczał. Mimo tego nadzoru idącemu po wschodach wydało się, że go ktoś chwyta za kołnierz. Spadł i potłukłszy się, chorował długo. Co się tyczy jego wpływów u władz, te stanowczo przeceniał. Faktem jest, że nie miał żadnych, bo też inaczej być nie mogło. Książę Szachowskoj, naczelnik żandarmerji tolerował z początku jego natrętne narzucanie się, ale poznawszy bliżej nikczemnika, wkrótce go się pozbył. Najdłużej cieszył się względami piotrkowskiego gubernatora, Kochanowa, dla tego przez jakiś czas był możliwym, ale i tu sądzono mu było sprawę przegrać. Jak to francuzi powiadają: Na jednego łotra znajdzie się półtora łotra. W biurze gubernatora urzędował niejaki Jaworski, druga w odmiennej nieco formie edycja Xdza Zaleskiego, to jednak nad ostatnim mająca pierwszeństwo, że Jaworski żadnej wogóle religji nie wyznawał i najmniejszymi skropułami wściekłości swojej ani krępować, ani pozorować nie potrzebował.

Wynikł więc między tymi dwoma księżami spór, przyszło do obelg, których Xdzu Jaworski publicznie nie szczędził. Z salomonową mądrością sądził ów konflikt gubernator, a rezultatem było wyrzucenie Zaleskiego za drzwi. Wkrótce potem wzgardzony przez wszystkich renegat pożegnał się z tym światem...

Na nim kończymy opis pojedynczych członków magistratury, której ręka tak srogo zaciężyła nad krajem.

9)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Przychodziły jednak i na Kitę ciężkie czasy, pora owych zimowych zadymek, zasp śnieżnych, srogich mrozów, w połączeniu z nadzwyczajną ludzką ostrożnością. Ciężko mu było przetrwać to wszystko! Obchodził starannie wnyki, sidła, żelaza, głównie przez Teterę pozastawiane, i zabierał, co znalazł, o ile go w tem podbieraniu Franek już nie uprzedził. Zające i kuropatwy, postrzelone w jego rewirze, do niego należały, chociaż czyhały tu na nie także jastrzębie i wrony.

Mrąc głód, musiał też nieraz rozgrzebywać kupy suchych liści, chrustów, gdzie jeż odbywał sen zimowy. A nie, to znowu drepcił po owych drobniuteńkich, jakby sznureczki, tropach, uganiając się, wietrząc za myszami, dyndował.

Och, wielka jest różnica w życiu między zającem a lisem! Pierwszy odżywiał się ladajako, a miał daleko więcej nieprzyjaciół. Drugi potrzebował na stół mięsa, a prawie wyłącznie wojował z człowiekiem. Powiedz mi, co jadasz, a ja ci powiem, kto są twoi nieprzyjaciele!

Gdy Kita wyszedł w pole, popatrzył, posłuchał i zawietrzył, już miał gotowy plan, wiedział, co robić, gdzie się obrócić.

Dużo mówiła ta jego czaszka szeroka, uwieńczona parą śpiczastych uszu, i ten nos w samym wierzchołku trójkąta ostrokątnego,

i ta para błyszczących światełek po pod uszkami. Wszystko w lot chwyta zjawiska świata zewnętrznego, materjał dla znakomitych pomysłów, upraszczających zadania życia. Jego bystrość jest źródłem jego lisiej chytrości, zuchwalstwa, bezczelności, wysokich zalet gatunkowych, stanowiących oręż w walce o istnienie. Oszukać zręcznie nieprzyjaciela, wyprowadzić go w pole, a nie dać się mu podejść, to polityka lisa? O, i on zna strach, obawia się; ale uczucie to nigdy go nie pozbawia przytomności umysłu! Strach, połączony z rozwagą, wytwarza lisią ostrożność. I to za złe mu brano. Ludzie prześladowali Kitę i zdawali się oczekiwać od niego potulności, grzeczności. Na to lis czynami odpowiadał: „Głód mi dokucza i mojej rodzinie, tkliwym być nie myślę“.

Kiedy polował na kuropatwy, robił słowo w słowo to wszystko, co Malwa, Tetera, tylko daleko, daleko zręczniej, dokładniej, ponieważ nie mógł z odległości dosięgać zwierzyny ołowiem. Jak on się skradał, wietrzył! Nos ciągle w przedniej straży znać mu dawał, gdzie która kuropatwa przycupnęła. Podpełznął na brzuchu, w ciemności nocnej wybrał jedną sztukę, nagle skoczył i celnie pochwycił ją w zęby. Ofiara wydała rozdzierający jęk, pisk, a inne ptaki, rozbite, furknęły, pierzchły w prawo i w lewo.

Rozumie się, że i zającom w Morzelanach bardzo trudno wyżyć z takim sąsiadem. Szarak musi się tu dobrze oglądać na wszystkie strony, kiedy chodzi o wybór kotliny, gdyż nie każdy wstaje, kto się spać położył. A i opuszczając kotlinę wieczorem, trzeba się rzetelnie namyślić, którą drogę wybrać.

Pod koniec kwietnia i w maju Kita nie ważył się nigdy wracać do chałupy z próżnemi rękoma. Naprzód Kicina przez jaki czas musiała dzień i noc ślęczeć przy noworodkach, stosownie do tradycji lisiej! Któż, jeśli nie mąż, ma w takim razie zaspakajać potrzeby małżonki? Bierz, zkąd chcesz, a być musi! Nie utyskiwał i nie zbywał ladajako tych obowiązków.

Później, gdy dzieci podrosły, miewało jego ojcowskie serce ogromną pociechę: zasiadał nieraz na ogonie, przyglądał się zabawom siedmiorga lisiąt płci obojej.

Był tam szczególniej jeden synek, bardzo obiecujący lisek — wykapany tatuś. Ten zwykle spotykał wracającego do domu ojca w głównym kurytarzu domostwa i, łasząc się z przymileniem, odrazu sięgał po zdobycz, którą stary w zębach przynosił: zawsze coś uskubnął ten pieszczoch i pociecha rodziców. Wzięty za serce Kita, jakżeby się nie miał poświęcać? Egoizm rodzinny jest słodkim, rozkosznym obowiązkiem.

Dom mieszkalny był obszerny, składał się z dwóch izb górnych, przeznaczonych na dzieciarnię i z komory dolnej, od której rozchodziły się kurytarze na wschód, zachód, północ i południe.

Matka niekiedy udzielała tu dzieciom pierwszych nauk, przynosząc im żywą mysz albo ptaszka. Dziatki, igrając z ofiarą po izbie, zaprawiały się do polowania: dobry przykład i żywe doświadczenie stanowią podstawę wychowania.

Oto ojciec wjeżdża do jamy z kurą i zaledwie stanął w progu izby, siedem par światełek błysnęło ku niemu, a czternaście par nóg żwawo poskoczyło i w oka mgnieniu siedem pyszczków rozrywało kurę za łeb, za skrzydła, nogi, ogon, mrucząc z rozkoszy szarpania.

Raz atoli wrócił do domu Kita bez chleba powszedniego, markotny, zziajany i z łapą rozkrwawioną: legł, zwinął się w kłębek, lizał łapę.

Pełno szemrania było na ojca; liski tylnemi łapkami skrobały się po karkach i nic sobie nie robiono z chorego rodzica.

Kita nie czuł wtedy najmniejszej goryczy w duszy względem potomstwa: pewnie rozumiał, że po to się płodzi własny gatunek, aby mu dać utrzymanie.

O wdzięczności lisy nie mają pojęcia.

VIII.

Każdy biedny, nieszczęśliwy, uniósł z przygód życia wspomnienia jakichś chwil bardzo pamiętnych, w których nieszęścia, przeróżne klęski, głównie i z całą siłą nań się waliły — nie mogło już być gorzej. Taki był rozbitkiem na morzu, a żyje: ogarniały go zewsząd płomienie pożaru, a nie zwęgliły i uszedł; ziemia się pod nim zapadała, a nie pochłonęła go i ocalał; pioruny waliły w około, a on stoi, żyje. O tych czarnych godzinach życia, o tym swoim „roku strasznym“, może człowiek zawsze powiedzieć: „Prócz śmierci, ciężkich chwil konania, już mię na padole płaczu nic gorszego nie spotka!“ Kto biedę taką przeżył, spotyka już potem przeciwności spokojniej, a zawody dolegliwe mniej go bolą. Na gracza i przy największem szczęściu osobistem, nie wychodzi się tanim kosztem. Nasz szarak bezuchy miał także rok straszny, a przeżył już był całe trzy lata w Morzelanach.

Pierwszego września Węglicki z chartami znowu na morzelańskich polach! On zawsze z nienacka wpada na cudze grunta, poszczuje i umyka. Nazywają go tu wypłoszem, bo — co prawda — nie robi zającom wielkiej krzywdy: straszy i płoszy tylko. A bezuchy ma także szczęście do tego charciarza: i dziś oto czarne charty wzięły go w obroty, jazda!

Przyparty przez psy, jeźdźca, rzucił się rozpaczliwie w szeroki, a głęboki kanał morzelański i przepłynął, a charty także za nim, sapiąc, dysząc z wściekłości. Zmokły, wylękły, nie zdołał się nawet otrząsnąć z wody i gnał,

wyskakując w gwałtownych susach ponad drobne chrósty, pędził ku ogrodowi dworskiemu.

Był ten kierunek zająca bardzo nie na rękę Węglickiemu, na którego dawno już czyhał rządca, dając się słyszeć: „Włosy mi na dłoni wyrosną, jeżeli tego wypłosza nie nauczę stronić od Morzelan!“

Dzisiaj, jak raz, pan rządca spostrzegł z pod stodół czarne charty, pędzące w okolice dworu i huknął basem na chłopów: „Chłopcy, dalejże! Trzy ruble płacę za żywego, czy zabitego charta!“

Więc któryś parobek wyprzągł co tchu konia z wozu, pochwycił żelazne widły; jakiś inny zrobił toż samo, a pozostali porwali się do drągów i piechotą ruszyli na wyprawę. Powstały hałasy, krzyki niezmierne; jazda i piechota uderzyły zawzięcie na charty, a każdy miał przed oczyma przyobiecanych sześć rubli i przeto zapalał się męstwem.

Węglicki w nogi. Przecież ci chłopi gotowi byli zabrać się do niego, a może nawet — zabić. Cóż to znaczy dla chamów?

Psom ucieczka poszła znacznie lepiej, niż pogoń za szarakiem. Wyprawa chłopska nie miała wprawdzie powodzenia, a jednak pan rządca wspaniałomyślnie rzucił chłopom rubla na gorzałkę i przytem uroczyście obwieścił: „Ktokolwiek spostrzeże w Morzelanach tego pędziwiatra, ma prawo zabrać mu konia, a psy pozabijać! Słowo honoru, dziesięć rubli nagrody za to wypłacę!“

Tymczasem szarak stapiany, przestraszony, dostał się szczęśliwie do ogrodu i z pod krzaka maliny kołtował, baczył, czy owe wrzaski chłopstwa stosują się aby nie do niego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LILI.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

— Zakrzewski! ostrożnie, bo tam moje malunki na podłodze.

Zakrzewski obszedł wielkie płótno, pozszywane z prześcieradeł, rozciągnięte na podłodze, na którem Korniszon malował t. zw. „wolną okolicę“ i powrócił do pieca.

— Wiesz, Korniszon, bałbym się tutaj mieszkać.

— I!... Jak się człowiek przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej. Nie kosztuje ta ubikacja ani grosza, a swoboda jest: choćby strzelaj, nikt nie usłyszy. A przytem opał nie jest drogi... i stróżowi co wieczór dychy płacić nie potrzeba. A z tymi, to się już poznałem! — zawołał ze śmiechem, wskazując freski. — Zlatują mi ciągle na kołdrę, łuszczą się, sieroty, z zimna. A czasem to sobie rozmawiamy, psiatwarz! Niedawno, jakoś w przeszłym tygodniu, byłem nieco „wstawiwszy“; poszedłem wcześniej spać, obudziłem się nad ranem, księżyc świecił wprost w okno, jak teraz... naraz słyszę śpiew! Ki djabeł? myślę sobie i słucham. Śpiewają w korytarzach! Myślę sobie, Kos z Felusiem i Olkowskim idą do mnie w odwiedziny pod dobrą datą. Podniosłem się trochę i patrzę na drzwi... Otwierają się... wchodzi cała procesja... mnichów! Zemdliło mnie trochę. A oni idą i śpiewają, śpiewają... Jeszcze pamiętam słowa i melodję: *Laudate pueri Dominum! Laudate!*

Zaczął śpiewać przyciszonym grobowym głosem.

Zakrzewski wstrząsnął się nerwowo i spojrzał nieśmiało na freski.

— Doskonale pamiętam, przechodzili koło mnie... głowy wygolone, twarze blade, oczy zamknięte... ręce złożone... w białych habitach z czarnymi szkaplerzami na piersiach!... Czekam aż przejdą, trę oczy, zamykam... otwieram, a oni wciąż idą... idą... i śpiewają! Spociłem się do siódmej skóry, psiatwarz! Nieznacznie chciałem zobaczyć, gdzie idą, oglądam się, a oni chodzą tylko dokoła mojego spania. Spałem przy ścianie... macam... ściany niema!... Jézus Marja! Zaczęły mi zęby kłapać... Miałem przy poduszce flaszuchnę gorzałki, było tego z pół kwarty... muszę mieć wódkę, bo, jak wstaję, to mnie zawsze mgli coś w żołądku... Wyciągnąłem ją w największym strachu, przewróciłem, łyknąłem raz i drugi dla kurażu... zamknąłem oczy i... obudziłem się w południe, psiatwarz!

— Pierwszy atak *delirium tremens*, tak. Utop się, aby nie powiedziano, żeś się zapił.

— A rano nie było żadnych śladów, nic? — pytał, poruszony opowiadaniem, Zakrzewski.

— Nic, pustą butelkę znalazłem pod oknem, a siebie w środku siennika.

— Halucynacja, tematem były te freski, a przyczyną wódka!

— Jak chcesz, dziedzicu, ale ja doskonale widziałem i pamiętam... Olkowski wali. Panowie, do porządku, bo sznaps idzie! Dawaj-że mazgaju! Tęsknimy, wyglądamy, a ty, jak mucha w smole się ruszasz.

Odebrał wódkę, odkorkował, obejrzał i oddał.

— Nalewaj sznytki, Olkowski! Zrobimy cacany chórek, panowie. Tylko się pilnujcie taktu, bo będę grzmocił.

Wziął kieliszek, w drugą rękę pogrzebacz do dyrygowania i zaczął śpiewać ochrypłym, przepitym głosem.

— Pije Kuba do Jakuba, Jakób do Michała!

— Chlust, Trzyknijmy się!

Trącili i wypili.

— Olkowski, nalej sznytki!

Wypili znowu i śpiewali od początku, Zakrzewski tylko nie śpiewał; był jakiś smutny i znużony.

— Gdzież twoja Ofelijka, Hamleciku?

— Cicho, Feluś! „A kto nie wypije! tego we dwa kije!“ Źle! Feluś, fałszujesz jak pies.

— Olkowski, nalej sznytki. Zacznijmy nanowo, no raz... dwa, raz... dwa...

A kto nie wypije — tego we dwa kije!
Łupu cupu po kożuchu, tego we dwa kije!

— Dziedzic się nudzi. Olkowski, dawaj szkło.

— Głupiś, Korniszon, dawajcie wódki; niech tam djabli wezmą resztę!

— Mądre słowo. Pij, bracie, psiatwarz, a poznasz słodkość! Lili wyda ci się aniołem, a życie rajskiem specjałem. Pij Olkowski, pij bracie, a będzie ci się zdawać, że jesteś kochankiem Szalkowskiej, że masz fajgla, że jadłeś przez cały tydzień objady, że grywasz bohaterów! Pij, Feluś! pij, bracie kochany, mój królu złoty, psiatwarz, a twoja almawiwa grzać cię będzie, jak futro i utopisz się w żarciu, a piciu, a kochaniu, a szczęśliwości! Pijmy!

— Pijmy, panowie! Patyk złamany reszta! Co tam będziemy myśleć, będzie co jeść, czy nie będzie: uda się spektakl, czy nie uda; kocha nas kto, czy nie kocha; umrzemy, czy nie umrzemy! Pijmy słodkość, bracia, psiatwarz i tyle...

Zakrzewski siedział pod ścianą, na sienniku Korniszona i błędnemi, sztywnemi oczami wpatrywał się we freski, które zwolna światło księżycowe powlekało skrzącą zielonawą patyną, niby mgłą rozdrganych pyłów świetlistych, po za któremi te malowane postacie zdawały się poruszać, żyć... aureole świeciły jakimiś fosforycznym blaskiem, oczy zdawały się patrzeć w niego, a całe te tłumy chwiały się i zwolna szły ku niemu w blaskach księżyca.

Strach przezwyciężył odurzenie, nie żegnał się z nikim, tylko spiesznie poszedł do domu.

Obudził się bardzo późno.

Olkowski, jakiś zielono blady, siedział na swoim sienniku z głową w dłoniach.

— Kiedyś pan powrócił?

— Nie wiem. Obudziłem się na klasztornym korytarzu, może przed pół godziną. Zimno mi, i coś dziwnie słabo, głowa mnie strasznie boli...

Zakrzewskiemu zrobiło się wstyd wczorajszego wieczora.

— Piłeś pan herbatę?

— Ba, herbaty niema, a ja nie mam ani grosza!

Leon sięgnął do kieszeni, ale również nie znalazł nic.

Ubrał się spiesznie i pobiegł do Lili; nie przyjechały jeszcze; dotknęło go to bardzo przykro. Dlaczego tak długo siedzą? myślał, ściskając sobie głowę, bo go bolała; jeść mu się zachciało.

Poszedł do Korczewskich. Pili herbatę, siadł z nimi i pił; ale myślał z przerażeniem, że nie ma już pieniędzy, strach i wstyd go ogarniał.

— Afisz już mamy, jutro możemy jechać na wieś z biletami!

— Dobrze; zamówił pan już konie?

— Zamówiłem, tylko trzeba zapłacić z góry, bo inaczej nie chcą! Podłe żydy! — zaklął Korczewski, chodząc po pokoju ze szklanką herbaty w ręku. — Musi mi pan pożyczyć 5 rubli na furmankę; z kosztów się to panu wróci.

— Pięć rubli? wie pan, nie mam ani grosza... Tak jakoś się stało, że... Zamilkł nagle, wstyd go zdławił, bo Korczewski spojrzał na niego nieco drwiąco.

— Ja również nie mam; kupiłem płótna, bo prześcieradeł nie starczyło; będzie z nich tylko pokój francuski, a musimy mieć dwie zmiany. Kupiłem farb, kupiłem sznurów, Korniszonowi musiałem dać coś naprzód. Mam zaledwie parę kopiejek. Co tu robić?

Oglądał po kolei to sprzęty, to garderobę swoją i żony; ale odwrócił się z niechęcią.

— Psiakrew, niema nawet co zastawić.

— Józio wczoraj zastawił obrączki nasze, żeby wykupić afisze!... raz... dwa... — szepnęła Korczewska cicho i robiła dalej w milczeniu swoją nieśmiertelną szydełkową serwetę.

— Gdybyś pan chciał, pogoda taka piękna, to poszlibyśmy pieszo do pierwszych kilku dworów... — zaczął nieśmiało Korczewski.

— Dobrze, wszystko mi jedno. Ostatni raz przecież.

— Bo widzi pan, jak tylko co sprzedamy, to wynajmiemy sobie jaką furkę na wsi i dalej już pojedziemy.

— O której godzinie jutro?

— Najpóźniej trzeba wyjść o dziewiątej.

— Dobrze. Do widzenia.

Na ulicy sięgnął po zegarek, żeby zobaczyć, która godzina. Było już południe, a jemu przyszło na myśl, że przecież może ten zegarek zastawić, że może dostać za niego kilkanaście rubli. Poszedł do Jańcia, bo ten najlepiej umiał załatwiać podobne operacje.

Jańcia nie zastał. Była tylko Gałkowska, która z okręconą głową wałkowała jakieś ciasto i rozkładała je na łóżku i na koszu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z drukarni K. Wiesnera, we Lwowie, Akademicka 16.